Nr. 15. Warszawa, dnia 29 Marca (10 Kwietnia) 1872 roku. ROK VIII.

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
Półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Seryja trzecia.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcji: w Warszawie, ulica Nowy Świat Nr. 30 (nowy).

PRZEKONANIA.

Nikt zapewne zaprzeczyć nie zechce, że czyn jest najwznioślejszym wyrobem umysłowego i fizycznego życia człowieka, że jest dyjamentową koroną wieńczącą skronie bohaterów, że jest najpotężniejszą dźwignią wszelkiego postępu ludzkości. Jest on również i jej najokropniejszą plagą, niszczącą wszystko to, co sobie najlepszego społeczeństwo zdobyło w długich wiekach pracy i mozołu, jest olbrzymią skałą przygniatającą wszystkie objawy życia, jest więzieniem Galileusza, jest barbarzyństwem Omara i Czyngishana.... Słowem, czyn jest błogosławieństwem i przekleństwem ludzkości, jest piekłem i niebem na ziemi; potęga jego wszystko porywa za sobą i unosi.... bez względu na to, czy celem ku któremu dąży, będzie zbudowanie nowej szkoły czy nowej tortury.

Cóż jest przyczyną tych wszystkich zjawisk, huczących jak przeraźliwy ryk gromu lub świetlanych, jak blaski dobroczynnego słońca? — Uczucia i namiętności. One prowadzą człowieka jakby na pasku i tam każą stawiać kroki, gdzie im się podoba. Jeżeli są dobre, wiodą ku dobremu, jeżeli złe w przepaść sromu nas wtrącają. Przejmują nas miłością lub nienawiścią, spółczuciem lub zazdrością, gniewem lub pobłażaniem, wstydem lub oburzeniem;—i w tym kierunku puszczają cugle naszym czynom, naszemu postępowaniu. Im prąd ich gwałtowniejszy, tem szybciéj czyn za sobą pociągają.

Ale uczucia są podobne do lekkiego puszku, unoszonego najsłabszym wietrzykiem w niedojrzane krainy,—ulegają co sekundowéj niemal zmianie i same o tem niewiedząc w coraz inne się przekształcają. Gdyby człowiek chciał iść ciągle za ich natchnieniem, musiałby tysiąc razy na dzień budować i burzyć, kochać i nienawidzieć, płonąć rumieńcem i blednąć—a to z powodu jednego i tego samego faktu. A prócz tego uczucia i namiętności są ślepe, nie obrachowują nic, nie liczą się z przeszkodami, nie dbają o inny jakiś cel oprócz własnego swego zaspokojenia. Biada człowiekowi, biada społeczeństwu, które ster spraw swoich samym uczuciom powierzyło! Mogą one czasami sprowadzić bardzo błogie skutki, mogą obudzić *zapał chwilowy*, mogą się stać pobudkami czynów wielkich, szlachetnych; ale istotnego, *trwałego* dobra nie przyniosą mu w upominku. Uczucia rozbudzone, rozfanatyzowane, wywołały prześladowania chrześcijan przez Rzymian, a późniéj heretyków przez katolików; wyludniły i zubożyły Hiszpaniją, uczucia stały się przyczyną upadku wielu narodów, spowodowały niewdzięczność jednego narodu, względem innego za dobro mu wyświadczone.... Zapewne, ludzkość i z tych smutnych, zatrutych owoców działalności pojedyńczych swych członków potrafiła wyciągnąć pierwiastki pożywne, budząc w sobie na przekór usiłowaniom wprost przeciwnym ducha niepodległości i swobody, przyswajając nabytki obcéj cywilizacyi, wykrzesując prawdę z krzemieni fałszu;—ale pomimo to nie może zapomnieć oceanu krwi, przelanéj niepotrzebnie, cierpień i udręczeń wywartych na ludzi dobréj woli, nieporządków i zamieszek, tamujących organiczny rozwój postępu, nie może zapomnieć krzywd wyrządzonych sobie przez uczucia i namiętności.

Uczucie jest zmienne jak humor kapryśnicy; co rano wydawało mu się białem, to w południe może być szarem, a w wieczór czarnem jak sterówki kruka. Człowiekowi uczuciowemu nigdy napewno zaufać nie można; przyrzeczenia są u niego proste *flatus vocis*, postanowienia jego są jak babie lato—już się nad głową unoszą, już ścielą się po parkanie, już znów ulatują w powietrzu: jestto najgorszy rodzaj ludzi do wszelkiego energicznego, a wytrwałego działania, do pracy cichéj powolnéj a ciągłej niezdolny. Czyny ich są błyszczącemi szkiełkami kalejdoskopu; a życie przecież kalejdoskopem nie jest, szychem i blichtrem zbyć go nie można, jeżeli się chce zostawić po sobie ślad jakiś, jeżeli milczkiem nie pragnie się przez nie prześliznąć lub hucznym tylko fajerwerkiem rozświetlić. Nie dosyć jest litować się nad biedą i dać parę groszy ulicznemu żebrakowi, którego wśród innego prądu uczucia zbędzie się pogardliwem ruszeniem głowy: — trzeba na seryjo pomyśléć o środkach zaradzenia téj nędzy. Nie dosyć jest prągnąć ogólnego dobrobytu, chwały, swobody i t. p., i na ten cel przez godzinę być bohaterem; należy zejść do pracowni, nie wstydzić się prostéj roboty, bez świecidełek, szumu i blasku, zaprzeć drzwi lenistwu, próżniactwu i wysokiemu o sobie mniemaniu. Nie wybuchów wulkanu nam trzeba, ale jasnego płomienia, zapalonego przy ognisku domowem....

Ażeby ten płomień rozdmuchać i zawsze jasno palącym się utrzymać; ażeby rozstrzelone jego błyski ująć w należyte granice i na

ŚLADY ŻYCIA.

I.

Tyle życia—ile... w czynie.

Piśmiennictwo nasze budzi się z uśpienia, ruch społeczny ożywia się, młodzież garnie się do pracy a jeśli wszystkim tym objawom brak jeszcze stałości i siły, jeśli w piśmiennictwie naszem widnieje tu i owdzie brak zasad, brak jasno postawionego celu literackiej działalności lub cywilnej odwagi; jeśli w ruchu społecznym zawsze jeszcze więcej mamy dobrych chęci, niż dobrych czynów; jeśli młodzież nasza zbyt może porywczo radaby prąd opinij na nowe zepchnąć tory—to jednak fakt budzącego się życia niemniéj winien nas pocieszać—nadzieją postępu. Cześć tym co w naukach, sztukach i przemyśle przewodniczą społecznej pracy—do nas należy śledzić za biegiem postępu i notować najdrobniejsze *ślady życia*.

* * *

Chęć pobudzenia do naukowego spółzawodnictwa i gruntownego poznajomienia ogółu z należytem pojmowaniem warunków handlu zbożowego w kraju naszym, oto dwa zarówno szlachetne cele, które skłoniły Redakcyję *Niwy* do ogłoszenia konkursu na temat: „*O tegoczesnym u nas handlu zbożowym.*" Warunki konkursu są następujące: Każda rozprawa winna być opatrzona dewizą wypisaną na zapieczętowanej kopercie, mieszczącej nazwisko i mieszkanie autora; tylko koperta autora rozprawy uznanej za najlepszą zostanie rozpieczętowaną. Prace winny być nadesłane najdaléj na dzień 1 stycznia 1873 r. pod adresem Niwy (Nowy Świat Nr 41). Autor najlepszej rozprawy, uznanej za takową przez grono osób kompetentnych, otrzyma premium w ilości rs. 120 (złp. 800), pozostając obok tego wyłącznym pracy swej właścicielem, pierwszeństwo tylko nabycia służy Redakcyi. W razie zaś, gdyby autor rozprawy nie drukował jéj po upływie roku, prawo własności przechodzi na Redakcyję Niwy. Współczując serdecznie tym usiłowaniom *Niwy*, ze względu na niezmierną ważność dla kraju naszego podanego przez nią tematu, nie wątpimy, że konkurs ten rozbudzi do użytecznej pracy naukowe siły naszych ekonomistów.

* * *

Ze swej strony Redakcyja *Przyrody i Przemysłu* ogłasza konkurs na rozprawę p. t.: „Wpływ nieczystości miejskich na skład chemiczny wody wiślanej, podczas niskiego stanu rzeki." Praca ta powinna być opartą przynajmniej na pięciu rozbiorach wody wiślanej zaczerpanéj z różnych miejsc, których szczegółowe wymienienia znaleść można w ogłoszeniu *Przyrody i Przemysłu* (Nr 14). Ważność zadania polega na praktycznych wnioskach rozprawy, które pozwolą ocenić, z jakich miejsc czerpana woda przedstawia najmniej zanieczyszczeń i w jaki sposób możnaby usunąć a przynajmniej zmniejszyć szkodliwy ich wpływ

odpowiedni cel zużytkować; potrzeba ześrodkować nasze uczucia, popędy i namiętności, potrzeba im nadać stały kierunek, z którego nigdy zbaczać nie powinny, potrzeba wziąć do ręki pochodnią myśli, słowem potrzeba mieć *przekonania*.

Przekonania są krytyką uczuć i mętnych wyobrażeń, są ich uporządkowaniem i zjednoczeniem w pewnym naukowym albo społecznym celu. Bez krytyki nie ma przekonań; jest tylko ślepa wiara w jakąś powagę, któréj nici splątują głowy tych ludzi, którzy nie zdolni są myśleć i czuć samodzielnie, na własną swą odpowiedzialność. Uczucia nasze należy oczyszczać z przypadkowych naleciałości, wyobrażenia sprawdzać za pomocą doświadczenia i rozumowania, za pomocą odróżniania tego co jest główne, od tego, co podrzędny tylko szczegół stanowi. Trzeba sobie jasno zdawać sprawę z tego co nam potrzeba, co konieczne, a co tylko przyjemne, łechcące naszą duszę i próżność; a nie unosić się pierwszym lepszym popędem; potrzeba dobrze gruntownie ocenić środki, któremi rozporządzać możemy, a nie rzucać się na oślep, bez ładu i wyboru, gdzie nas fale uczucia unoszą. Jeżeli chcę np. mieć pewną, niezawodną pomoc mojego przyjaciela, to nie dosyć, żebym czuł do niego sympatyję, żeby coś mnie do niego ciągnęło, muszę również wiedzieć jakie są jego myśli, jakie poglądy, na ile rachować nań mogę w danéj chwili, jeżeli nie pragnę się zawieść, jeżeli nie mam ochoty wyrzekać późniéj na jego niestałość, na zdradę. Wtym celu potrzeba *jasno myśleć*, a bez krytyki tego zdobyć nie można. Przekonania wyrabiają się powoli, nie zlatują z nieba, z obłoków, z atmosfery i pracą się je zdobywa, i to pracą mozolną, utrudzającą i ciało i ducha. U nas takich ludzi, co się przechwalają niby swojemi przekonaniami, jest dosyć: ale gdybyś ich naprawdę nacisnął, ażeby ci wprost bez omówień i retoryki wypowiedzieli swoje wyznanie wiary— to znaleźliby się w położeniu malca, który się nie wyuczył lekcyi. Dla czego? Bo przekonania ich — to tylko gromkie słowo zakrywające próżnię wewnętrzną, to szum wichru po pustce. Przysłuchajmy się naszym rozmowom, naszym dysputom. Cóż to takie go jest? Igraszka słów, połączonych z sobą brzmieniem a nie związanych myślą, fale uczuć napływające jedna na drugą i zakrywające się nawzajem, albo też kręgi takie koliste, jakie widzimy na spokojnéj wodzie, gdy w nią kamień rzucimy.

Kamieniem jest myśl, rzucona przez jednę osobę, wkoło niéj powstają kręgi wprawdzie coraz większe i większe, ale wiecznie te same i co do treści i co do formy. Jeżeli powstaje spór, to zwyle powodem jego, sprężyną i pobudką jest osobistość, uczucie jakieś samolubne, bez żadnéj szerszéj myślowéj podstawy, bez przekonania istotnego. Rozmowy nasze i rozprawy pozbawione są pożywnéj treści, są gotowaniem tego, co zostało zwarzone, a to z téj prostéj przyczyny, że nie mamy jasnych, stałych przekonań, którebyśmy potrafili obronić, nie podniesieniem głosu, nie hałasem i krzykiem; ale dowodami, czerpanemi w źródlisku prawdy i rzeczywistości. Można się w nich rozgorączkować, ale niepodobna przynieść z sobą do domu choćby jednego przekonania, oprócz chyba tego, że mieć go nie można.

I gdy po takiéj rozmowie, po takiéj dyskusyi przyjdzie chwila działania, dziwimy się swojéj bezwładności, rozpaczamy nad smutnem położeniem, któremu zapobiedz nie jesteśmy w możności, albo dajemy się unieść szałowi, którego późniéj bardzo gorzko żałować będziemy. Żal nas ogarnie i po uczuciach zmarnowanych i po wydatkach niepowrotnych i po siłach straconych.... a skutkiem tego zjawi się apatyja, zamknięcie serca na uczucia szlachetniejsze, mające dobro ogółu na oku, a ograniczenie się tylko na dobrobycie własnym. A przecież apatyja—to śmierć życia duchowego; ślimacze zasklepienie się—to negacyja pomyślności powszechnej.

W naszéj jednakże jest mocy zapobiedz tym smutnym skutkom wielkich wysiłków poprzednich: tylko powinniśmy pamiętać, że wszelkie działanie uprzedzić powinno jasne przekonanie o jego środkach i celach. Kto inaczéj postępuje podobnym jest do dziecka, któreby chciało skakać z drzewa, kiedy chodzić jeszcze nie umie.

W życiu codziennem i w historyi ludzkości liczne na potwierdzenie tego znajdujemy przykłady. Każdy człowiek tem śmieléj i energiczniéj występuje, im jaśniéj widzi cel przed sobą, im głębiéj jest przekonany o dobroci i wielkiem jego znaczeniu. Uczony dochodzi do tem świetniejszych rezultatów, im więcéj nagromadził faktów, im lepiej ich od siebie odróżnił, im głębiéj zastanowił się nad przyczynami wiążącemi je w jednę całość, im dokładniéj zbadał ich cechy i charakter: wtedy pisze dzieło, które naukę przekształca i do społeczeństwa nowe wnosi żywioły. Publicysta tym większy wywrzeć może wpływ na czytelników, na zmiany i reformy danego kraju; im lepiej się przypatrzył jego potrzebom, im głębiéj wniknął w naturę jego zwyczajów i instytucyj. Zabobony, czary, barbarzyństwa, tortury znikają wobec nauki jak cienie nocne przy brzasku dziennym. Postęp oświaty w Stanach Zjednoczonych mniejszy procent krwi kosztował, aniżeli w każdym z państw europejskich z osobna. Nie uczuciem się tu ślepem kierowano, ale jasnemi przekonaniami. „Wtedy licz na uczucia swoje, powiada Kremer, [1]) *gdy je wychowasz we czci dla prawdy* i w obawie grzechu *wtedy dopiero staniesz się całym, zupełnym człowiekiem, gdy rozum i serce na wieki z sobą zaślubione*, nie znużą się nie znękają walką wzajemną, lecz się wspierać i pokrzepiać będą na tęsknéj pielgrzymce przez świat i życie.” Nie wytępiać uczucia, nie wykorzeniać je, nie pozbywać się namiętności, tylko kierować niemi potrzeba, bo jeżeli z jednéj strony są one pobudkami do czynu, to z drugiéj same celu nie obaczą, środków nie obmyślą i na bezdroża zawieść mogą, kiedy tymczasem pod przewodnictwem rozumu, zamienią się na przekonania tak silne i energiczne, a tak stałe i wyraźne, że nic ich zachwiać nie będzie mogło.

Różni ludzie do różnych dochodzą przekonań—zarzucą mi może. Zapewne, ludzie nie jednakowo przyjmują wrażenia, nie jednakowych doznają, nie jednakowo się wychowują, ażeby ich uczucia, myśli i przekonania były zupełnie identycznemi. Tylko nie należy zapominać po pierwsze, że walka na świecie trwa ciągle zarówno między uczuciami i interesami różnych członków ludz-

[1]) Wykład systematyczny filozofii, tom II, str. 522.

---

wzrastający w skutek wzrostu ludności. Rozprawy wraz z nazwiskami autorów w osobnéj kopercie złożone być winny przed 1 Stycznia 1873 r. Honoraryjum wynosi *rs. 100.*

* * *

Przeminął już, niby sen chwilowy, rozkoszny wianek dni świątecznych, a codzienna proza powszedniego życia budzi do pracy rozświętowanych, którzy tak chętnie lubią uciąć drzemkę niepamięci wśród ciągłych krzątań i kłopotów życiowych. Uroczystość Wielkiej Nocy, będąca dla katolików wesołem świętem tryjumfu Zbawiciela, wiedzie jak zwykle za sobą cały szereg poważnych symbolicznych obrzędów religijnych i zwyczajów narodowych. U nas szczególniej wiele z tych pierwszych przybrało charakter ostatnich i trudno w nich tylko dopatrywać wyłącznie religijnéj strony, wiele znowu tych ostatnich skryło się pod płaszczyk wiary, uświęcone jéj powagą. Czyż np. coroczny zwyczaj święcenia grobów w wielki Piątek jest u nas wyłącznie religijnym, czyż nawet, co więcéj, obchodzonym bywa ściśle w tym duchu jaki mu przepisuje rytuał obrzędowy kościelny. Wszak to dzień żałoby i smutku, chwilowego tryjumfu śmierci nad Bogiem—Człowiekiem. Na ołtarzach poprzewracane lichtarze i sprzęty obrzędowe w ponurym nieładzie na pamiątkę powszechnego wstrząśnienia natury przy śmierci Chrystusa; przerwano zwykłe codzienne kościelne ofiary, uroczysty głos dzwonów nie zwołuje pobożnych, tylko rozlega się wśród murów kościoła głuche trzeszczące skrzeczenie grzechotek. Spojrzyjmy teraz na ulicę i patrzmy na twarze krążącego po kościołach ludu, czy się dostraja do tego ponuro-żałobnego tonu. Oto wiosenne słońce rozpędziwszy szare chmury błuzgające deszczykiem, uśmiecha się pogodnie i pije wodę z ziemi zroszonéj obficie jéj strumieniami. Jakżeż tu nieodpowiedzieć wesołą twarzą na rozkoszny pierwszy uśmiech téj piastunki ziemskiéj przyrody, budzącéj ją z letargicznego snu zimowego. To też ludek krąży tłumnym gwarem po ulicach, spędza z oblicza szare chmury trosk codziennych, i uzbraja się w cichą, spokojną, świąteczną pogodę. Nieznać na nim co prawda zbyt hałaśliwego gwaru, ruchliwego szału, owszem ciśnie się tłumnie ale poważnie, uroczyście do wrót kościelnych, i staje w cichym spokoju przed obrazem grobu Zbawiciela. Szepcąc słodkie słowa modliwy, zatapia oczy w tym znanym sobie oddawna ale zawsze pożądanym widoku. Jak tam pięknie i wcale nie ponuro! Światło seciny lampek lejące migotliwe i jarzące blaski jakoś nie bardzo przypomina zaćmienie słońca i błyskawice Golgoty krające czerwonemi gzygzaki ponury całun nieba.

Wizerunek leżącego w grobie Chrystusa otoczony kwieciem i blaskiem lamp stanowi tło obrazu, albo też monstrancya z Eucharystyą okolona aureolą świetnych obłoków, przysłoniona mglistą, przejrzystą gazą. Wprawdzie spotkasz w niektórych kościołach wizerunki nagich szczytów Golgoty z trzema krzyżami, ale po większéj części mogiła święta otoczona bywa malowidłami palm zielonych albo też świeżem żywem kwieciem, śmiejącem się liści zielenią, ziejącem wonie rozkoszne. Tylko gdzieniegdzie zakłócają harmonię marsowe, malowane oblicza

dwóch żołnierzy
W rzymskiéj zbroi, z miną hardą,
Każden zbrojny halabardą
Ku widzowi groźnie mierzy.—

jak powiada słodki śpiewak Lirenki. Odwróciwszy oczy od tych służalców starej Romy spotykasz błyskotliwe światło kandelabrów, które ozłaca grupy dam kwestujących i błyska odbitemi promieniami w lśniących sztukach srebrnej monety. Miarowy stuk pieniążków o tace, gorliwie niewieściemi rękoma wykonywany, dolatuje cię z trzech, albo nieraz czterech punktów nawy kościelnéj. Grupki znajomych tłoczą się przy wykwintnych

kości, jak i między ich przekonaniami, że świat nie jest Pitagorasową szkołą milczenia, a po drugie —że walka uczuć i namiętności ma całkiem inny charakter, aniżeli walka przekonań. W pierwszej idzie tylko o postawienie—na swojem, w drugiéj o wykonanie prawdy bez względu na to, po której ze stron walczących zostanie zwycięztwo; w pierwszej z powodu zmienności samego żywiołu walczącego trudno jest przewidzieć jéj fazy, trudno obrachować skutki, gdy tymczasem w drugiej wiemy czego się trzymać mamy, bo konsekwencyja i loika jest tu rzeczą nieubłaganą i niezmienną. Owocem pierwszéj jest zburzenie, zniszczenie, lub krew; owocem drugiéj pojednanie i zgoda,—nie zgoda słomiana, przypadkowa, z wyczerpania sił pochodząca, ale istotna, oparta na dowodach i prawdzie. Takiej nam walki koniecznie potrzeba, bo żaden człowiek pojedynczy nie może sobie rościć pretensyi do nieomylności; a w ścieraniu się przekonań rozmaitych jednostek, prawda wyjść musi na wierzch. Walka taka ma charakter spokojny chociaż niewzruszony—nie przelewa krwi, nie zapala stosów, nie otwiera podziemi inkwizycyi, nie stawia pręgierzów, nie torturuje osobistości, ale zarazem nieda się ubłagać, ani łzom sentymentalnym, ani uśmiechom zalotnym, nie ma względu na urząd i na powagę, nie robi ustępstw na cześć podłości i służalstwa.

Ten atoli spokojny pokojowy charakter przekonania zachowują dopóty, dopóki nie wejdą w sferę czynu, odtąd ożywione uczuciami, których się wcale nie wyrzekają, niosą na ołtarz powszechnego dobra wszystko, co mają najszlachetniejszego. Wtedy wszelkie wahanie się ustaje, bo człowiek z przekonaniem, wie już naprzód jak w danym razie postąpić mu przyjdzie, zna ludzi, którzy go w działaniu jego wesprą radą, słowem i ramieniem, obliczył się dobrze z okolicznościami, które mu nie sprowadzą żadnéj ważniejszej niespodzianki zbijającéj go z toru — przekonanie swoje gotów śmiercią własną przypłacić. Nie bierzmy przekonania za jedno z chłodem, oziębłością niezdolnością do czynu, do energicznego wystąpienia—a wtedy i wstręt nasz do niego rozpłynie się w poczuciu siły i czerstwości moralnéj. Człowiek z przekonaniem nie upada jak rozgorączkowany marzyciel, gdy go rzeczywistość ostrą swą rózgą wychłoszcze; ale pewien pomyślnego skutku swego pasowania, choćby w najdalszéj przyszłości, podniesie harde czoło i daléj pracować będzie. Uczucie i namiętność rozdrażnia, a przekonanie błogim spokojem duszę napełnia i choć od smutków i niepowodzeń nie uwalnia, to przecież daje moc i wytrwałość, nieznane wybuchom namiętnym. Przekonanie nie kołysze do snu, nie przykrywa grobów całunem wiecznéj żałoby, ale budzi życie na każdym kroku i z trupów przeszłości umie wydobyć ożywczy płomyk energii. Przekonanie powinno być płomiennem jak uczucia, a jasnem jak myśl—jedyna droga pożytecznéj działalności. Przekonanie powinno przenikać całą istotę człowieka i każdem stąpnięciem jego kierować, powinno skupiać wszystkie skarby duchowe, by je w chwili odpowiedniéj między innych rozdzielić. Społeczeństwo, którego sfera działalności z rozmaitych powodów została ograniczona, winno w sobie wyrabiać stałe i jasne przekonania dla zużytkowania ich w przyszłości.

SPADEK PO STRYJU.

POWIASTKA

Erckmanna-Chatriana.

przełożył z francuzkiego

WŁ. J.

Gdy umarł mój zacny stryj Chrystyjan Haas burmistrz miasta Lauterbach, byłem już kapelmistrzem na dworze wielkiego księcia Yeri-Petera i pobierałem tysiąc pięćset florenów stałej rocznej pensyi,—mimo to jednak ciągnąłem jak to mówią djabła za ogon.

S. p. Stryjaszek znał doskonale ów smutny stan moich interesów, a chociaż nieprzysłał mi nigdy ani grajcara, toprzecież nie przeszkodziło mi wcale do wylewania gorących łez gdym się dowiedział o jego szczodrobliwości pośmiertnej; — ba!.... odziedziczyłem po nim dwieście pięćdziesiąt morgów dobrej roli, winnice, zarośla, kawał spory lasu i duży dom w Lauterbach.

— Drogi stryju,—zawołałem rozrzewniony—teraz dopiero poznaję całą głęboką twoją mądrość i uwielbiam cię za to, żeś tak starannie ściskał sznurki twego worka przedemną... bo i cóżby się stało z pieniędzmi gdybyś mi je nadsyłał?... Byłyby oddawna w ręku Filistynów i Moabitów.... tylko mała Kastel Freserine mogłaby powiedzieć gdzie się podziały... tymczasem, ty swoją roztropnością, ty jeden tylko, ocaliłeś ojcowiznę jak Fabiusz Kunktator..... Cześć ci za to drogi Stryju!.., cześć ci!....

Wypowiedziawszy te czułości i wiele innych nie mniej rzewnych, udałem się konno do Lauterbach.

Dziwna rzecz! diabeł skąpstwa z którym dotąd nie miałem żadnych stosunków, zaczął mnie nagabywać i probował opanować mnie: — Kacprze! — szeptał mi do ucha — ty jesteś bogatym!.... dotąd bawiłeś się tylko w marzenia... miłość, rozkosze i sztuka są tylko dymem.... trzeba być strasznie głupim żeby gonić za sławą,.. ziemia, dom i talary umieszczone na pierwszym numerze hipoteki, to mi rzecz, — to prawdziwe i trwałe dobro... porzuć marzenia... zajmij się gospodarstwem, uprawiaj rolę, zaokrąglaj majątek, ciułaj talary, a będziesz szanowany i sławny.... zostaniesz burmistrzem jak twój stryj, a chłopi widząc cię przechodzącego, będą zdejmować kapelusze o pół mili, i mówić: „Oto pan Kacper Haas... najbogatszy człowiek w okolicy!"

Te myśli opanowały mnie i snuły mi się ciągle po głowie jak obrazy w latarni czarnoksięzkiej a ja uważałem je za bardzo dobre i rozumne.

Było to w miesiącu Lipcu; jaskółki świergotały pod niebem swoje aryje bez końca, zboże dojrzałe kołysało się na równinie jak fala, ciepły powiew wiatru przynosił mi do ucha namiętne nawoływania się przepiórek i kuropatw w zbożu, zieloność rozpościerała się wszędzie, Lauter mruczała w cieniu wielkich wierzb... a ja nie widziałem nic, nie słyszałem tego wszyskiego; — chciałem być burmistrzem, zaokrąglić sobie brzuch,—nadymałem policzki i, mówiłem sam do siebie:

---

kwestarkach, które nieraz tak jaskrawo prezentują w kościołach swoje wielko-światowe narowy, uroczyście pozują na fotelach i podnoszą dumnie oblicza namaszczone wielkością posłannictwa chwili obecnej. Ale to nie wszędzie—przy niejednym stoliku spotkasz się ze słodkiem, pogodnem obliczem, które wdzięcznem, serdecznem a rzewnem spojrzeniem, śle dzięki za datki dobroczynne. Tłum się przewija po kościele—wpływa ciągle jednym a wypływa drugim strumieniem, krąży wolno po ulicach, przesyła sobie wzajemne ukłony i powitania. Ten ruch nieustanny trwa aż do wieczora Wielkiej Soboty, gdy w tłumnie natłoczonych kościołach dźwięczą uroczyste tony *rezurekcyi*, a organy grzmią potężnym hymnem boskiego wesela!

Nazajutrz rano na mieście cisza słoneczna. Cały gwar miejskiego życia ucichł pod tchnieniem uroczystości, które owionęło wszystkie dusze. Hałaśliwe ekwipaże zrazdka się tylko tłuką o kamienne bruki, lud krąży cichemi gromadkami z kościołów do domu, gdzie w kółku rodziny i znajomych dzieli się owem symbolicznem jajkiem, które nam zostało spuścizną z prastarych obrzędów po zamierzchłej pogańskiej przeszłości, będąc śladem czci rodzajnej siły słońca budzącej płodne życie na ziemi. Miesza się gwar wzajemnych życzeń, odwiedzają się znajomi, i obfite kadzidła palą... gastronomii. Na ulicy ciągle spokój niezwykły, dopiero od południa liczniejsze tłumy wysypują się gromadnie, turkoczą hałaśliwe dorożki, strumień miejskiego życia toczy się żwawemi i bystremi nurty!

* * *

Podczas obu dni świątecznych prześliczna utrzymywała się pogoda — to też w strony Ujazdowskiego placu — tłumnie a gwarno płynął sobie ludek Warszawski. Słupy z nęcącemi wabikami na wierzchu, magja, sztuki łamane, karuzele, huśtawki, młyny djabelskie i muzyka w improwizowanych salonach, uprzejmi gospodarze licznych namiotów czekający na gości z przekąską i piwkiem, wszystko to ściągało tłumy żądne zabawy. Bawiono się w obec tylu i tak różnorodnych warunków *użycia*, jak można było najlepiéj. Bawiono się w dobréj wierze, gdy jeden złośnik (złośników nigdy nie braknie) postanowił zabawić się bawiącemi. Pan *X.*—mający niekłamane pretensje i do wyższego świata i do wyższego wykształcenia zapewne—chciał, boć i to w niektórych pojęciach do dobrego tonu należy, pośmiać się trochę kosztem uliczników miejskich gromadnie ma się rozumieć krążących na Ujazdowskim placu. — Między więc chmarę taką—z dwustu jakich co najmniéj wyrostków złożoną—rzucił dwadzieścia kupionych na straganie pomarańcz. Stało się tedy to co stać się koniecznie musiało, o wydarcie zdobyczy wszczęły się najpierw bójki na dobre—a w ostatku rzucono się na sam stragan, zmuszając już policję do wystąpienia w obronie zagrożonéj cudzéj własności. Komu więcéj dano, od tego więcéj wymaga się zawsze — czy jednak bez ujmy dla godności własnej można być przyczyną zgorszenia dla tych, dla których właśnie dobrym by należało być przykładem?

* * *

Jedną jeszcze z dawien dawna praktykowaną na Ujazdowie zabawą jest jazda na koniach wynajmowanych przez wozi-wodów warszawskich lub żydowskich furmanów. Litość bierze patrzeć doprawdy—jak te zbiedzone—wynędzniałe—dzień w dzień od rana do nocy ciężko wysługujące się szkapiny—przechodzą straszne cięgi przez dwa święta Wielkanocne.

W masie z kilkunastu, ba—jeżeli nie z kilkudziesięciu tysięcy złożonéj—amatorów jazdy niezbraknie—gdy cena za kurs zwłaszcza, 4 lub 5 groszy nie przenosi.

A każdy jeździec chciałby przecież użyć całą gębą za piątkę na to wydaną—smaga więc na wszystkie strony biedne zwierze—zmu-

„Oto pan Kacper Haas idzie... człowiek bogaty... najbogatszy w całej okolicy!... Wio Bletz! wio!

I moja mała klaczka galopowała.

Chciałem jak najprędzej przymierzyć trójgraniasty kapelusz i wielką czerwoną kamizelę stryja Chrystyjana.

— Jeżeli będą dobre na mnie, mówiłem sobie, po co inne kupować?

Około czwartej po południu mała mieścina Lauterbach ukazała mi się w głębi doliny i ze wzruszeniem zatrzymałem wzrok na wielkim i ładnym domu Chrystyjana Haas, mojéj przyszłej rezydencyi, zbiorniku moich eksploatacyi i środku moich posiadłości. Zachwycałem się jego malowniczem przy drodze zwirowej położeniem, podziwiałem ogromny dach szaréj barwy, stodoły kryjące pod swemi szerokiemi skrzydłami wozy, pługi i narzędzia rolnicze... a dalej podwórze... mały ogród..., zarośla... winnice i łąki ciągnące się daleko.

Drżałem z radości patrząc na to wszystko.

Gdym wjechał na główną ulicę, stare baby, zasmolone dzieci z gołemi głowami, ludzie dorośli w wielkich wydrowych czapkach, z fajkami wiszącemi przy ustach, przyglądali mi się i witali mnie:

— Dzień dobry panie Kacprze! dzień dobry panie Haas!

We wszystkich oknach widać było zaciekawione twarze.... Więc jestem nareszcie u siebie... zdaje mi się, że od urodzenia jestem właścicielem... posiadaczem w Lauterbach... moja przeszłość jako kapelmistrza wydaje mi się snem, a mój zapał do muzyki młodzieńczem szaleństwem.... Tak to talary wpływają na zdanie człowieka!

Zatrzymałem konie przed domem miejscowego notaryjusza Beckera... w jego ręku są papiery nadające mi tytuł własności, trzeba je odebrać. Przywiązałem konia do kółka przy drzwiach, zeskoczyłem na trawnik a na progu dla powitania mnie ukazał się stary skrybent z odkrytą łysą głową, zawinięty w długi zielony w czerwone kraty szlafrok.

— A! pan Kacper Haas! witam pana!

— Sługa pański panie Becker.

— Racz pan wejść, panie Haas.

— Ale pan wprzód panie Becker... koniecznie.

Weszliśmy do sieni, spostrzegłem w głębi niewielkiej, czyściuteńkiej, dobrze oświetlonej sali, stół wykwintnie zastawiony a przy stole młodziutką, świeżą i szykowną osóbkę, z twarzyczką jaśniejącą dziewiczym rumieńcem.

— Pan Kacper Haas! zarekomendował zacny notaryjusz.

Ukłoniłem się.

— Moja córka Lota! dodał następnie.

Uczułem rozbudzające się we mnie dawne skłonności artystyczne, zachwycałem się różowym noskiem, karminowemi ustami, wielkiemi niebieskiemi oczami panny Loty, podziwiałem jej zgrabną figurkę i małe pulchne rączki. Pan Becker podał mi krzesło mówiąc że mnie oczekiwał, że moje przybycie było przewidziane i że przed zaczęciem interesów ważnych niezle jest wypocząć po drodze i orzeźwić się kieliszkiem wina. Wszystko to znajdując bardzo słusznem przyjąłem zaproszenie z całego serca.

Zasiedliśmy więc i rozmowa toczyła się o pięknościach natury.

Rozmyślałem o starym papie.., obliczałem w myśli dochody notaryjusza w Lauterbach.

— Można pani służyć jeszcze skrzydełkiem?

— Dziękuję.... jesteś pan zbyt łaskaw.

Lota spuściła oczy... napełniłem jej kieliszek... ona umoczyła w nim swoje różowe usteczka.., notaryjusz był widocznie uradowany, mówił o polowaniu.,. rybołóstwie....

— Pan Haas bezwątpienia łatwo przywyknie do naszych zwyczajów miejscowych, mamy ta obficie królików i rzeki pełne pstrągów... polowanie wydzierżawia się w urzędzie leśnym, wieczory przepędzamy w oberży... Jnspektor wód i lasów jest dzielny i dający się lubić człowiek, sędzia pokoju gra wybornie w wista.... i t. d.

Słuchałem i znajdowałem, że rozkosznem bydź musi to życie ciche i spokojne. Lota wydawała mi się zachwycającą; mówiła mało, lecz miała uśmiech tak łagodny i naiwny że trzeba było ją kochać!

Nareszcie podano kawę i kirszwasser. Lota odeszła a stary skrybent nieznacznie przeszedł z rozmów o przyjemnościach i zabawach do interesów. Mówił mi o posiadłościach mego stryja.. natężyłem słuch... niezostawił żadnego testamementu, żadnego legatu, i hipotekę zupełnie czystą, wszystko jasne i uregulowane.

— Szczęśliwyś Kacprze, pomyślałem sobie, bardzoś szczęśliwy.

Przeszliśmy do gabinetu notarjusza dla załatwienia interesu. Powietrze biurowe i szeregi pułek z aktami, rozproszyły marzenia miłosne. Usiadłem w wielkim fotelu, a pan Becker z miną zamyśloną, zasadziwszy okulary w róg oprawne, na swój nos długi i garbaty odezwał się:

— Oto pański tytuł do posiadania łąk w Eichmatt,—masz pan tutaj, panie Haas, sto morgów dobréj ziemi.... najlepszéj i najlepiéj irrygowanéj w całéj gminie.... zbiera się z niéj co rok dwa a nawet trzy sianożęcia, co przynosi cztery tysiące franków dochodu. To jest tytuł własności winnicy Sonnenthal: trzydzieści pięć morgów.... wydaje ona w dobrym czy złym roku w przecięciu dwieście hektolitrów wina, które się sprzedaje na miejscu po dwanaście, do piętnastu franków hektolitr... dobre lata pokrywają złe... Tutaj masz panie Hass tytuł własności lasu Romelstein zawierającego pięćdziesiąt do sześćdziesięciu hektarów budulcu.... To przedstawia pańską posiadłość w Haematt.... to pastwiska w Thiefenthal.... To jest tytuł własności folwarku Grünerwald, a to domu Lauterburg... największego w miasteczku całem, istniejącego od XVI wieku.

— Do djabła, panie Becker, to nie bardzo przemawia na jego korzyść.

— Przeciwnie... przeciwnie. Jan Burckart, hrabia de Barth, postawił tu swój dom myśliwski.... prawda że kilka pokoleń przeżyło w nim od tego czasu, lecz nie zaniedbywano małych reperacyi i dziś jest doskonale zakonserwowany.

Podziękowałem panu Becker za objaśnienia i włożywszy moje tytuły własności do ogromnéj teki, któréj mi pożyczył zacny notarjusz, pożegnałem go, więcéj jak kiedykolwiek przeświadczony o moim wysokiem stanowisku na świecie.

Przybywszy przed dom, uderzając nogą, na pierwszym stopniu schodów, zawołałem z uniesieniem: „to jest moje!"

---

sza do szybkiego biegu szkapinę która łazić nie jest już wstanie—bez względu ma się rozumieć i nato, że większość prawie biednych tych stworzeń—okaleczona boleśnie. Towarzystwo opieki nad zwierzętami winnoby zwrócić na to uwagę.

* * *

W ciągu miesiąca zeszłego odbyły się trzy odczyty Dr. Malcza: O przesądach lekarskich. Fakt to więc nie tak już świeży, lecz ze względu, że publiczne wykłady w przedmiotach dotyczących hygieny i medycyny są u nas dotąd rzadkością, wart jeszcze zanotowania.

Z nadpisu sądząc, spodziewano się, że przesądy lekarskie i blizkoznaczne z niemi gusła, czary i zabobony będą przedmiotem wykładu. Dr. M. jednak, pod miano przesądu podciągnął i wszystkie lekarskie teorje i systematy, których nicość i jednostronność wykazał spostrzegawczy i doświadczalny kierunek nauk przyrodzonych a z niemi i medycyny, jaki od stu lat zaledwie się rozwinął. Pierwszą prelekcję i drugiéj połowę spożytkował Dr. M. na rzucenie historycznego rysu rozwoju pojęć i nauki lekarskiej—czas pozostały poświęcił na przedstwienie zdrowych, rzetelnych pojęć o życiu, zdrowiu i chorobie. Gdyby pojęcia te i płynące z nich rozumowe zasady hygienicznego (w najobszerniejszem znaczeniu) życia i wychowywania dzieci, rozpowszechnione i utrwalone były w naszéj publiczności, tak jak na to zasługują, zniknęłyby same przez się i przesądy, co śmiało rzec można, wywarłoby znakomity wpływ na zdrowie i płynący ztąd dobrobyt ogółu.

Historyczny pogląd w nauce, jeśli dla czytelnika lub słuchacza ma być zrozumiałym, obejść się nie może bez przypuszczenia w ostatnim, mniéj więcéj gruntownéj znajomości saméj nauki. Tylko przez poznanie i zrozumienie faktów i zasad na których nauka dzisiaj spoczywa—dojść można do należytego ocenienia pojęć do historyi należących, a które z dzisiejszemi zostają w sprzeczności lub przeciwieństwie. Prelegent nie jedną dłuższą chwilę poświęcał ustępom z historyi medycyny, ustępom czysto specjalnego charakteru, zapominając cokolwiek, że niewielu słuchaczy z téj części odczytu wyniesie więcéj nad kilka nazwisk i luźnych nader niedokładnych pojęć.

Ostatni odczyt bezspornie był najlepszym, co do pożytku przynajmniéj jaki z niego wynieśli słuchacze. Rozpoczął go prelegent ogólnym rysem budowy i czynności ciała ludzkiego. Zaledwie potrzebujemy dodawać, że przegląd ten naszego ustroju, ze względu na krótkość czasu, był najogólniejszym.

Pełnymi zdrowych myśli i zacnych chęci były ustępy o stosunku chorego do lekarza i o fizycznem wychowywaniu dzieci. Zarzucał prelegent naszym damom, że najczęściéj, jako młode matki, nie mają najsłabszego wyobrażenia o wychowywaniu i pielęgnowaniu niemowląt i starszych dzieci, wskazywał na złe ztąd płynące, a choć słowa jego aż nadto niestety były prawdziwe i warte zastanowienia—słyszeliśmy obecne na odczytach damy, których nieweczesna pruderyja czuła się zgorszoną poważną i przyzwoitą wzmianką o téj kwestyi.

Zewnętrzna strona odczytów była nader staranna. Ludziom oddanym naukowéj, specjalnéj pracy—niełatwo najczęściéj o styl potoczysty i język poprawny, a jednak przymioty te cechowały do pewnego stopnia odczyty D-ra Malcza.

* * *

Możecie pójść, czytelnicy, do teatru i z pożytkiem duchowym przypatrzeć się komedyi p. *M. Bałuckiego „Pracowici próżniacy"*. Nie pretensyjonalna to, nie górnolotna, ale swobodna i zacną natchnięta myślą sztuczka, któréj głównym celem jest wychłostanie bardzo upowszechnionej a niezmiernie zgubnej wady naszego społeczeństwa: *próżniactwa* tu-

Wszedłem do pierwszéj sali: „to jest moje!“ Otworzyłem szafę i ujrzawszy stosy bielizny, „to jest moje!“ powiedziałem. Wszedłem na piewsze piętro powtarzając na każdym kroku jak warjat: „to jest moje!... tak... tak... jestem posiadaczem!“... Wszystkie moje troski o przyszłość, kłopoty o jutro, rozproszyły się; mam znaczenie w świecie nie przez moje liche zasługi, przez kaprys mody, ale przez majątek rzeczywisty, pewny, do którego tłum zawsze się ciśnie.....

O poeci!... artyści.... czem wy jesteście przy właścicielu majątku posiadającym wszystko co zechce; okruchy z jego stołu podsycają wasze natchnienie, wy jesteście tylko ozdobą jego bankietów..... rozrywką jego nudów..... słowikami spiewającemi w jego ogrodzie..... statuą zdobiącą jego pałac..... żyjecie tylko dla niego i przez niego! Służycie tylko do podtrzymania jego dumy.... jego próżności.... jako właściciela jedynie rzeczywistego dobra tego świata!..Gdyby mi się w téj chwili biedny kapelmistrz Haas pokazał.... spojrzałbym na niego przez ramie.... zapytałbym samego siebie: „któż to jest ten szaleniec?... cóż on ma wspólnego ze mną?“....

Otworzyłem okno..... noc zapadała.. słońce zachodząc złociło moje zarośla i winnice, których końca nie można było dojrzeć. Na pagórku kilka białych kamieni oznaczało smętarz.

Odwróciłem się i ujrzałem obszerną salę gotycką, byłem w pawilonie myśliwskim feodalnego pana Burckarta.

Staroświecki klawikord zajmował przestrzeń pomiędzy oknami... w roztargnieniu pociągnąłem palcami po klawiszach, rozstrojone struny wydały dźwięk dziwny, ironiczny jakby głos starej, bezzębnej kobiety nucącej wesołą piosnkę z lat młodych. W głębi wysokiej sali była altana półsklepiona, przy wejściu do niej wisiały wielkie czerwone firanki, a za niemi stało łóżko pod baldakimem... Gdym go ujrzał, przypomniałem sobie, że zrobiłem dziś sześć mil konno i przy rozbieraniu uśmiechałem się z zadowoleniem mówiąc sobie: „pierwszy raz w życiu będę spał na mojem własnem łóżku.“ Leżąc patrzyłem w okno na roztaczającą się niezmierną równinę, na którą już zapadał zmrok, czułem że mi się powieki zamykają rozkosznie. Głęboka cisza panowała w około—oddalone głosy ucichały jeden po drugim .. i zasnąłem też smacznie.

Była noc zupełna i księżyc świecił w całym blasku, gdy przebudziwszy się bez żadnej widocznej przyczyny, poczułem silny zapach siana świeżo skoszonego w powietrzu. Zdziwiony chciałem się podnieść aby zamknąć okno, lecz rzecz dziwna! głowę miałem zupełnie wolną, gdy tymczasem ciało moje spało głęboko. Wysilałem się żeby powstać lecz żadnym członkiem nie mogłem ruszyć; czułem bezwładne ręce leżące obok mnie i wyciągnięte nogi nieruchome, głowę tylko podnosiłem na próżno. Oddech miałem ciężki i słyszałem bicie pulsów, co mnie jeszcze bardziej przestraszyło, głowa spadła mi na poduszkę.

— „Czyżbym był sparaliżowany?“ pomyślałem sobie. Zamknąłem oczy i rozmyślałem przerażony o tem dziwnem zjawisku.

— „Co to jest... co to jest... powtarzałem... moje własne ciało odmawia mi posłuszeństwa! Kacper Haas, pan tylu winnic i gruntów żyznych nie może poruszyć tym lichym prochem który jest jego własnością... o Boże! co to ma znaczyć?....“

Gdym rozmyślał w ten sposób, cichy szmer zwrócił moją uwagę, drzwi otworzyły się i do sali wszedł człowiek ubrany w jakąś ciężką materyję jakby pilśniową, w kapeluszu z sokolim piórem spadającym na ucho, w ogromnych łosiowych rękawicach sięgających do łokci i w butach po kolana. Ciężki złoty łańcuch z krzyżem zdobił mu piersi... twarz miał śniadą, kościstą, z zapadłemi oczami, z których widniała ponurość i smutek głęboki. Szedł krokiem miarowym z ręką opartą na rękojeści ogromnego rapiru którym uderzając w podłogę powiedział: „To jest moje.. moje!... Hansa Burckarta hrabiego de Barth.“

Gdy mówił zdawało się, że się słyszy starą zardzewiałą maszynę wydającą dźwięki kabalistyczne.... Drżałem jak liść.

Lecz w tej samej prawie chwili drzwi po drugiej stronie sali będące otworzyły się i hrabia de Barth zniknął w sąsiednim pokoju, skąd słyszałem jego automatyczny chód niknący coraz dalej, jakby na schodach prowadzących w przepaść bez końca.

Gdy jeszcze słuchałem, chociaż już nic nie było słychać, nagle obszerna sala zaludniła się liczném towarzystwem... klawikord dzwięczał, śpiewano o miłości, dobrém winie i rozkoszach.

Przyglądam się i widzę przy blasku księżyca, kilka młodych kobiet pochylonych niedbale nad klawikordem a przy nich wytwornych kawalerów ubranych, jak to było w modzie ongi, w koronki i błyskotki, siedzących na taboretach ze złotą frendzlą, pochylających się, przekrzywiających głowy, kołyszących się i umizgających, a to wszystko z tak dobrym tonem, w sposób tak ujmujący, że zdawało mi się iż widzą jeden ze staroświeckich sztychów XVI wieku.

Suche palce jakiejś starej damy o papuzim nosie brzdąkały na klawikordzie, wybuchy śmiechu rozlegały się na około i zamieniały w jakiś dziki hałas, że aż włosy stawały na głowie.

Całe to towarzystwo stanowiło, wybór elegancyi i dobrego tonu; czuć było zapachem wody różanéj i rezedy zamienionych w ocet.

Zrobiłem nowe wysilenie ażeby się pozbyć duszącéj mnie zmory, lecz napróżno! W téjże samej prawie chwili, jeden z młodych elegantów zawołał:

— Panowie, jesteśmy u siebie... ten dom...

Nie skończył... cisza nastąpiła po jego wyrazach. Spojrzałem, fantasmagoryja zniknęła!

Odezwały się trąby, konie rżały na dworze, psy szczekały a księżyc spokojny i zamyślony zaglądał do mojéj alkowy.

Wtém—drzwi otworzyły się jakby od silnego podmuchu wiatru i pięćdziesięciu owych myśliwych z młodemi damami w długich, ogoniastych sukniach, przeszło z jednéj sali do drugiéj; za niemi czterech olbrzymów poniosło na ramionach nosze ozdobione dębowymi liśćmi, na których leżał zabity ogromny dzik. Trąby głośniéj zabrzmiały raz jeszcze na dziedzińcu i widzenie się skończyło.

Gdym rozmyślał o tem, patrząc przypadkiem w ciemny kąt sali, ujrzałem zdziwiony jednę z tych dawnych rodzin protestanckich, spokojną, pełną godności i uroczystości w obyczajach; z patryarchą czytającym biblię, ze starą matroną, wysoką i bladą, przędzącą len,

---

łącego się pod świetlany płaszczyk pracy. Jestto rodzaj *obłudy* niewinnej w oczach jej uprawiaczy i tych, co się pod rąbek duchowego ospalstwa tulą bezpieczni; ale oburzającej ludzi, którzy istotny pożytek ogółu mają na celu. Łatwo, ani słowa, zostać *prezesem* od zjadania kolacyi i uczestniczenia w naradach, których najżywotniejszem zadaniem jast urządzić jakiś zabawny piknik, ale mniej łatwo pracować nad poprawą własnego charakteru i dokonać dzieła, którychby dobroć, błogosławieństwem choć pewnej cząstki społeczeństwa była utwierdzoną.... Łatwo zakładać bractwa i stowarzyszenia, celem błyszczenia na liście członków założycieli, ale trudniej wytrwać w przeprowadzeniu myśli swoich w czyn, jeżeli czynem tym nie ma być wyłącznie manipulacya z nożem i widelcem..., P. Bałucki miał właśnie na celu wystawione na pośmiech publiczny takich indywiduów, które w słowach tylko kres swemu działaniu naznaczają, uważając się już przez to za ludzi zasłużonych i godnych powszechnego szacunku. PP. *prezes*, *doktór*, *Saturnin* i kilka postaci kobiecych (*Zuzanna* dewotka i dwie plotkarki) są to ludzie wiecznie zajęci, wiecznie nie mający czasu, ale dla dobrej porcyi befsztyku, dla partyi preferansa i t. p. arcy poważnych powodów *poświęcający wszystko dla dobra powszechnego*. W dwu głównie scenach (scena śniadania w 1-ym akcie i posiedzenie w czytelni w 3 akcie) wydobywa autor na jaw mniemaną pracowitość tych pasożytów społecznych, które życie uważają za dziecinną igraszkę albo za wygodną synekurę. Przeciwko nim postawił p. Bałucki dwie osobistości i muzyka *(Kamila)* i literata *(Maurycego)*, którzy mają reprezentować stronę pracy istotnej, dodatniej, pożytecznej społeczeństwu. Na nieszczęście obie te figury są narysowane jak najsztywniej. Bieda to musi być na takie osoby w społeczeństwie, jeżeli autor tak wysokiego talentu jak p. Bałucki, nie zdołał ich prawdziwem natchnąć życiem i prawdzie dobra nadać ten rumieniec zdrowia, jakim jaśnieją (w jego sztuce) fałsz i obłuda. Panowie owi w komedyi nic tak dalece dobrego nie robią, oprócz może jednego postępku *Maurycego*, który mężatkę, niegdyś swoję ulubioną, tłumiąc w sobie ból serdeczny, na drogę obowiązku sprowadza. Pomimo jednak tego *ważnego* w komedyi braku i pomimo dość licznych niedoborów artystycznych, *Pracowici próżniacy*, gdyby były wsparte lepszem niż było, wykonaniem scenicznem, mogłyby wywrzeć pewien wpływ zbawienny jeżeli nie nasze postępowanie,—bo o nagłą przemianę usposobień i charakterów bardzo trudno—to przynajmniej na przekonanie o właściwej wartości pustych frazesów, o mniemanem poświęceniu dla dobra ogółu takich ludzi, dla których potrzebaby zaprowadzić osobną kolonią poprawczą.....

* * *

Zwracamy uwagę na list *T. T. Jeża*, pomieszczony w Nr. 222 *Tygodnika Illustrowanego*. Mówi tam własnemi słowy Francuzów o upadku nauki w stosunku do innych krajów zwłaszcza Anglii i Niemiec, notuje w każdej gałęzi umiejętności zaniedbanie i rozleniwienie. Czytajcie ten list, jeden z najlepszych jakie utalentowany powieściopisarz do gazet naszych przesłał i zastosujcie słowa jego do naszego kraju, do naszej nauki;—a może wtedy nabędziecie przekonania, jak wielkie ma ona znaczenie w rozwoju umysłowym i społecznym. Bierzmy wzór z Francuzów nie na mody, nie na fatałaszki, ale na tę miłość przyznania się do winy, do zacofania, i postanówmy sobie tak jak i oni poprawić się z tych błędów, obudzić się z letargu i przyjąć jasne światło nauki!.... Tych słów będzie dosyć dla każdego miłującego dobro ogólne.

sztywną jak wrzeciono, z kołnierzem wysokim sięgającym po same uszy; daléj dzieci pucołowate z zamyślonem okiem, łokciem o stół oparte, stary pies owczarski i zegar w orzechowéj szafce, liczący sekundy... a nieco daléj jeszcze kilka twarzyczek młodych dziewczyn i kilka ciemnych twarzy młodych chłopców w pilśniowych kapeluszach rozmawiających o historyi Jakóba i Racheli... coś nakształt oświadczeń miłosnych...

Cała ta poczciwa rodzina zdawała się być zagłębioną w rozważaniu praw świętych; starzec głosem stłumionym czytał z rozrzewnieniem.

Oto nasza ziemia obiecana ziemia Abrahama, Izaaka i Jakóba którą wam przeznaczyłem od początku wieków, abyście na niéj rośli i rozmnażali się jak gwiazdy na niebie... i nikt jéj wam nie zabierze, bo wy jesteście moim ludem ukochanym, w którym upodobałem sobie.

Księżyc od jakiegoś czasu zasłonięty chmurami, pokazał się znowu, jego promienie spokojne i zimne oświecały salę, któréj wysokie ściany przystroiły się nagle pułkami z książkami... staroświecki klawikord zamienił się na biurko jakiegoś uczonego, ogromną perukę wystającą nad poręcz fotelu obitego skórą. Słyszałem skrzyp pióra po papierze. Człowiek ten zagłębiony w myślach nie ruszał się wcale —cisza męczyła mnie niewypowiedzianie. Lecz wystawcie sobie moje zdziwienie, gdy uczony się odwrócił i poznałem w nim Radcę prawnego Gregorjusza, którego portret umieszczony jest w Galeryi Hessen-Darmsztadzkiej pod Nr 253.

Boże wielki! jak on mógł opuścić galeryję, pomyślałem sobie. Tymczasem Radca głosem dobitnym powiedział:

„Domino, ex jure Quiritio, est jus utendi et abutendi quatenus naturalis ratio patitur.”

W miarę wymawiania tych wyrazów, postać jego bladła.... bladła i z ostatnim wyrazem zniknęła!

Cóż wam jeszcze powiem, moi przyjaciele. Przez kilka następnych godzin widziałem dwadzieścia pokoleń następujących po sobie w starożytnym zamku Hansa Burcharta; chrześcijanie i żydki, szlachta i wieśniacy, uczeni i gbury, artyści i istoty prozaiczne, zmieniali się ciągle, i wszyscy ogłaszali się prawemi właścicielami..... każdy się miał za wyłącznego pana tego zamku.... niestety! jedno dmuchnięcie śmierci pozbawiło go własności!

Powoli przyzwyczaiłem się do téj dziwacznéj fantasmagoryi i gdy który z nieboszczyków powiedział: „to jest moje!“ uśmiechałem się i odpowiadałem: „czekaj, kolego, czekaj, zaraz pójdziesz za innemi!“

Byłem już okropnie znużony, gdy gdzieś daleko, bardzo daleko kogut zapiał; pianie koguta oznacza świt, jego przenikający głos budzi uśpionych.

Liście na drzewach zaszeleściały,—dreszcz jakiś przebiegł po moim ciele; uczułem że moje członki mogą się poruszać i wsparłszy się na łokciu, spojrzałem radośnie przez okno po cichéj okolicy.... lecz to co ujrzałem wcale mnie nie rozweseliło.... Całą długość ścieżki prowadzącéj na smętarz, zajmowała procesya nieboszczyków, których widziałem w nocy. Szli wszyscy powoli ku staréj bramie smętarnéj, a ten ich cichy pochód w półcieniu, przy niepewném świetle porannéj zorzy, miał w sobie coś strasznego.

Gdym tak patrzał na nich skamieniały ze strachu, więcéj umarły jak żywy, z otwartemi ustami i zimnym potem na czole, początek orszaku ginął pomiędzy płaczącemi brzozami.... po chwili widziałem już tylko niewielu nieboszczyków.... odetchnąłem.... gdy mój stryj Chrystyjan, idący na końcu, odwrócił się i kiwał na mnie żebym szedł za nim.... a jakiś głos daleki, ironiczny, wołał:

„Kacprze! Kacprze! chodź.... ta ziemia jest nasza!...“

Nareszcie wszystko zniknęło.

Czerwona zorza na horyzoncie zajaśniała.

Nie potrzebuję wam mówić, że nie miałem chęci korzystania z zaproszenia Chrystyjana Haasa.... kto inny chyba zmusiłby mnie tylko do udania się tą drogą, jednakże muszę wam wyznać, że wspomnienie téj nocy przebytéj w zamku Burcharta, zmodyfikowało bardzo moje pojęcie o mojem znaczeniu na świecie.... bo noc ta dała mi poznać, że chociaż rola, ogrody, winnice i łąki pozostają, to jednak właściciele ich zmieniają się!... jestto rzecz niezbyt przyjemna i sprawiająca powstawanie włosów na głowie, gdy się o niéj myśli na serjo.

Więc zamiast gnuśnieć w rozkoszach kapuańskich, wziąłem się do pracy, powróciłem do muzyki i mam nadzieję, że w roku przyszłym na wielkim teatrze w Berlinie, wystawioną będzie moja opera, na którą was zapraszam.

Rzeczywiście sława, którą ludzie materyalni nazywają chimerą, jest najtrwalszą ze wszystkich własności człowieka.... ona nie kończy się z życiem i nie przestaje być własnością po śmierci, lecz owszem, śmierć dodaje jéj jeszcze nowego blasku!

Przypuśćmy naprzykład że Homer zmartwychwstał—zapewne nikt nie zaprzeczałby mu zasługi w napisaniu Iliady, i każdy wysiałby się na okazanie mu należnego hołdu i czci—tymczasem, gdyby przypadkiem który z najbogatszych, współczesnych mu właścicieli ziemskich powstał z grobu i upomniał się u dzisiejszych posiadaczy o zwrócenie mu jego pól, lasów i pastwisk, z których był tak dumny—założyłbym się o dziesięć przeciw jednemu, że nazwanoby go złodziejem, i skończyłby może po raz drugi życie pod kijami.

O NAUCZANIU POCZĄTKOWEM.

(*Ciąg dalszy*).

Z wielu jednakże względów lepiej jest trzymać się drugiéj metody, to jest albo wprost uczyć pisać, albo też przyuczać z pojedynczo przygotowanych liter układać wyrazy. W tym jednak ostatnim wypadku należałoby zaczynać od wskazania związku pomiędzy już złożonym wyrazem a literami z jakich ten wyraz się składa. Dziecko np. widuje często gazetę, wskazuje mu się więc ten wyraz „gazeta“ i każe zwolna wymawiać **ga-ze-ta**, przyczem nazywa się każdą zgłoskę oddzielnie zasłaniając ręką pozostałe. Skoro się to wyjaśni, należy nauczyć dziecko dwóch samogłosek: **a i e** w skład wyrazu wchodzących, a następnie zmięszawszy wszystkie sześć literek „gazeta“ należy z nich kazać wyraz „gazeta“ ułożyć. Rozumie się samo przez się, że działać tu trzeba powoli, aby na wstępie zaraz samym, nie obałamucić i nie zniechęcić młodocianego umysłu. To wstępne tylko ćwiczenie, wymagające dla postępu nauczania poznania dwóch samogłosek. Rozpoczynając teraz właściwą naukę należy, albo od razu nauczyć wszystkich samogłosek, albo też nauczać ich stopniowo, co zaś do spółgłosek, to te bezwarunkowo jedna po drugiej poznawać należy, przez podawanie do składania wyrazów, w których one wybitnie występują. Wyrazy podawane do układania powinny być dobrze dziecku znane, zawsze jednak poprzednio trzeba je kazać zwolna wymawiać, by dać dostrzedz podział na zgłoski. Nadto od czasu do czasu, przy poznawaniu nowej spółgłoski lub nowego rodzaju zgłosek, można układać tabliczki jakie wyżej wskazano.

Z resztą trzymać się tu można elementarza p. S., rzecz bowiem w obu tych metodach jest jedna i ta sama, z tą tylko różnicą, że tam się odczytuje wyraz, a tu go się układa. Z początku tylko, póki dziecię zna niewiele głosek, nie należy zadną miarą brać jak p. S., zdań całych, ale pojedyncze wyrazy, bo zdania takie jak: *to i tę tu, ot te tu, na co te tony* (a innych w tych warunkach ułożyć nie można) obałamucają słuch i oko dziecka, a pozostają niezrozumiałemi. Można także po pewnym czasie łączyć układanie wyrazów z czytaniem na elementarzu p. S. Co do wieku dziecka, sądzę, że tę naukę rozpoczynać najwłaściwiej pomiędzy 6 i 7-ym rokiem. Dziecko powinno koniecznie dobrze wymawiać wyrazy, w przeciwnym wypadku należy wybierać takie tylko, w które nie wchodzą źle wymawiane dźwięki. Początkowo nauka nie powinna trwać dłużej nad kilka minut dziennie, potém można nauczać przez kwadrans, ale nowe objaśnienia na każdéj dalszej lekcyi bardzo pewoli wprowadzać potrzeba, nie zaniedbując natomiast tego, co się już wyłożyło poprzednio. Gdy dziecię czytać zacznie, można je tem dwa razy dziennie zajmować, byle lekcyja jedna dłużej także nigdy nad 15 minut nie trwała.

Co do **nauki pisania**, na dwa tu również względy zwrócić należy uwagę. Jeżeli wykłady zacząć się mają od pisania wyrazów, to najpierw stopniowo przechodzi się mały alfabet, a gdy kształty onego doskonale już utkwiły w pamięci dziecięcia, tak, że już mniej więcej potrafi napisać każdy powiedziany mu wyraz i napisany przeczytać—wtedy uczy się je wielkiego alfabetu, a następnie dopiero daje się poznać drukowane litery co bezpośrednio do czytania na książce prowadzi. Jeżeli się znowu rozpoczyna naukę od czytania na książce albo od układania wyrazów z pojedynczych drukowanych liter, to naukę pisania rozpocząć należy, gdy dziecię już dobrze pozna mały i duży alfabet. Rozpoczynać pisanie należy nie piórem ale miękkim ołówkiem (Fabera Nr 2), i nigdy nie pozwalać poznawać nowej litery póki dziecko poprzednich dobrze nie zapamięta. O pisaniu kaligraficznie w początku myśléć nawet nie można, niech dziecię pisze litery tej wielkości, co w tak zwanej grubej kaligrafii, wyraźnie, szeroko, z zachowaniem względnej wielkości rozmaitych części jednej litery; laski mogą być mniej więcej proste, ale co do kółek, to te naturalnie będą najzupełniej nieforemne. Gdy młodziutki uczeń pisze już dosyć śmiało, można mu dać pióro gęsie i nie zmieniając wielkości pisma doraźnemi uwagami nad dopiero co napisaną literą przyuczać powoli do kształtniejszego pisania. Przepisywanie z tak zwanych wzorów, albo pisanie wciąż tego samego pod wierszem przez nauczającego napisanym, jest zupełnie niewłaściwe, dotąd bowiem jeszcze wszystko powinno się koniecznie pisać pod okiem uczącego. Wielkość liter pisanych zmniejsza się następnie przez zwężanie stosunkowe odstępów między linijkami w których się dotąd pisało, bezwarunkowo jednak nie należy przechodzić do pisma drobnego, bo na tem najłatwiej, zepsuć sobie na zawsze charakter. Je-

żeli nauczyciel dla braku czasu nie może być ciągle przy pisaniu dziecka obecnym i co za tem idzie nie może dyktować uczącemu się tego, co ma być napisanem, można pozwalać dziecku pisać samemu, lepiej jednak kazać pisać bajeczki, które umie na pamięć, jak zalecać przepisywanie z książki. Pisać dużo pozwalać nie można: dziecko się bowiem znuży i pisać będzie niedbale, a przytem długie nad kaligrafiją siedzenie źle na rozwój sił fizycznych oddziaływa. Dziecię mające ośm lat, może pisać dwa razy dziennie ale co najwięcej 10 minut, a bacznie przestrzegać wypada, aby koniecznie trzymało się przy pisaniu prosto, i dlatego trzeba by w początkach zwłaszcza po napisaniu kilku liter, a później dłuższego wyrazu kazać przerwać pisanie i wyprostować się dobrze.

Pożądanem byłoby też bardzo, aby dziecię nauczyło się pisać bez linij, do czego można dojść bez wielkich trudności, dając po prostu górną linijkę nie ciągłą ale stopniowo przerywaną. Te przerwy stają sięcoraz większe, tak że po pewnym jakimś czasie dochodzi się do tego, że zamiast linijki są trzy krótkie kreski na początku, w środku i na końcu wiersza. Gdy dziecię wprawi się w pisanie na jednéj linii, powtarza się to same z dolną linijką. Niektórzy radzą od razu zacząć pisać bez linij, jest to jednak zbyteczne utrudnienie początków nauki.

Nauką **okazową** nazwałem prowadzenie z dzieckiem rozmowy o przedmiocie, którego okaz znajduje się pod ręką; zczasem sam przedmiot zastępuje się przedstawieniem go na rysunku, a jeszcze później mówi się o przedmiocie, którego dziecko w tej chwili nie widzi, ale który przedtem dobrze widziało i u wagi nad nim robiło! Właściwie obejmuje w sobie ta nauka i geometryję i początki geografii i gramatykę i arytmetykę, my jednak o tych przedmiotach oddzielnie mówić będziemy, a pod naukę okazową podciągniemy tylko nauki przyrodzone.

Nauka okazowa jest bezspornie najważniejszą w początkowem nauczaniu—należy tylko pamiętać, że celem jej jest uczyć dziecię: patrzéć, zdawać sobie sprawę ze spostrzeżeń, zapamiętywać je. Jest ona tak naturalną jak życie całe jest tylko wielką nauką okazową—dziecię więc przechodzi tę naukę pomimowoli, niezależnie od swoich nauczycieli, trzeba tylko zrozumieć że to nauka, spotęgować ją i usystematyzować. Pamiętać też trzeba, że dobre prowadzenie nauki okazowej nie na tem polega, by uczący jak najwięcej dziecku *nagadał*, ale na tem, by stosownemi zapytaniami do jak największej liczby spostrzeżeń dziecko doprowadził, jak najściślejsze odpowiedzi na zapytanie swoje otrzymał. To nauczanie mniej więcej przy końcu szóstego roku życia, rozpoczynać się winno od nasuwania pod uwagę dziecka przedmiotów w codziennem życiu spotykanych, a więc doskonale uczącemu się znajomych, prowadzoną zaś być winna przez zapytania o szczegóły jak najprzystępniejsze dla oka i umysłu dziecka. Gdy dziecko spostrzeżenia swe wypowiedziało, wtedy nauczający objaśnia przystępnie szczegóły, których dziecko nie może zobaczyć, tylko się o nich dowiedzieć musi.

W udzielaniu tych wiadomości nie trzeba być zbyt hojnym i mówić o tém tylko, co może dziecko zainteresować, każdy też szczegół wypowiedzieć należy oddzielnie, ściśle bacząc by być zrozumianym dokładnie, wymagać powtórzenia i zwracać też uwagę na to by szczegół ten wplatał się w całość pojęcia o danym przedmiocie, a nie był luźnie przyczepionym. Oczywiście o jednym i tym samym przedmiocie nieraz mówić należy, nie porzucać go dopóty, dopóki dziecię odrazu, bez pomocy prawie zapytań nie opowie wszystkiego, co się z niem było mówiło, a od czasu do czasu wracać nawet na ten sam przedmiot wypada, by go sobie dziecię dobrze w pamięć wraziło; a nakoniec po dłuższym jakimś przeciągu czasu, raz jeszcze wrócić do niego i znów powiedzieć coś nowego co poprzednio było jeszcze dla pojęć młodego umysłu do zrozumienia za trudne. Ma się rozumieć, iż powoli wymagać jednak należy odpowiedzi coraz ściślejszych, dłuższych, co będzie także przygotowaniem do książkowej nauki.

Jak się powiedziało wyżej, pierwiastkowo mówić trzeba o przedmiotach, bezpośrednio pod ręką dziecka będących. Stoi np. na stole szklanka, mówmy o szklance, leży widelec mówmy o widelcu i t. p. Najpierw nazwisko, dalej kształt, dalej materyjał, z którego przedmiot zrobiony, potem własności (*tłucze się łatwo*), potem użytek, dalej gdzie go mozna kupić, gdzie się wyrabia i t. p. Mozna też zwróciwszy np. uwagę, że szklanka u góry jest szerszą jak u dołu—wykazać powód, dla którego kształt się jéj taki zwykle nadaje,—ale nie opowiada się tego dziecku, tylko się je dotykalnie przekonywa, pokazując, że z naczynia zwężonego ku górze (choćby butelki) trudniej jest płyn wylewać. W ogólności, gdy tylko pojęcie jest dla dziecka dostępne, nie trzeba zaniedbywać wykazywania przyczyny dla któréj przedmiot jest tak a nie inaczej zrobionym, bo dziecko zawsze lubi zapytywać dla czego to tak lub owak, dobrze więc, gdy przywyknie wszędzie dopatrywać się rozumnego celu.

W pokoju jest okno—mówi się o oknie; składa się z drzewa, szkła i żelaza. Część zrobiona z drzewa nazywa się ramą okna i zwykle maluje się na biało. Część szklana nazywa się szybą, jest ich zwykle kilka, szyby są przezroczyste, dlatego widno w pokoju gdy na dworze widno. Z żelaza są zawiasy—które przytwierdzają okno w ten sposób, że na nich obracają się pojedyncze połowy. Dlaczego w oknie jest kilka szyb przedzielonych drewnianemi prętami, dla czego składa się ono z dwóch połówek oddzielnych, dlaczego umieszcza się w zagłębieniu, framudze i t. p. Można skończyć na tem, że dziecko przy pomocy linijki narysuje okno na papierze.

Wyższym stopniem nauki okazowej jest porównywanie z sobą przedmiotów, np. szklanki z butelką, stołu z krzesłem, komody z szafą i t. p.; prowadzi się zaś w ten sposób, że dziecię wymienia najpierw wszystkie podobieństwa, potem różnice, zrobiwszy poprzednio spostrzeżenia w formie: tu jest tak i tam tak; więc jest podobieństwo—tu jest tak, a tam owak, więc jest tu różnica.

Początkowy wykład nauk przyrodzonych można też zawrzeć w nauce okazowej: mówi się o ciele ludzkiem, o zwierzętach dobrze dziecku znanych, jak koń, pies, kot, krowa, kura, kaczka, szczygieł, kanarek w klatce, wróbel, którego dziecko widziało latającym, lub którego obraz na rysunku dano mu do ręki, i t. d.

Na wiosnę i w lecie na przechadzkach z dzieckiem uczy się go botaniki—nazywa się drzewa, przypatruje się liściom, porównywa jedne z drugiemi—wyrywa się drobną roślinkę, pokazuje korzeń, łodygę, kwiat—uczy się odróżniać listki kielicha od płatków korony, liczyć pręciki, słupki — zasuszać liście, całe roślinki — spstrzega się różnicę między rozmaitemi łodygami, korzeniami, i t. p.

W podobny sposób uczy się mineralogii; co do fizyki, to ta dla dziecka przed 11-u lub 12-u laty jest mało dostępną, bo zjawiska fizyczne w naturze są w ogólności bardzo skomplikowane, i silniejszy dopiero umysł może oddzielić w nich istotę rzeczy, przyczynę zjawiska od jego całości. Nie idzie jednak zatem, aby nie dawać spostrzegać dziecku łatwych jakichś zjawisk, bez zaciekania się w przyczyny i objaśnienia, — np. spadek ciał bez jego praw matematycznych—pływanie—rozszerzanie się od ciepła, są przystępne dla dzieci, nie można jednak tym spostrzeżeniom nadawać, choćby najmniejszego naukowego charakteru. Że jednak nadzwyczaj mała tylko liczba z tych, co się dziś nauką dzieci zajmują, ma jaką taką o naukach przyrodzonych świadomość, cała więc większość niezmierna nie będzie w stanie odrazu wykładać je wsposób wskazany. Potrzeba zatem przedewszystkiem wykształcić się samemu co przy silnéj woli a dobréj chęci nie przedstawia tak wielkich znowu trudności—trzeba tylko książkę z któréj się dzieciom najpowszechniéj po kilka lub kilkanaście wierszy na pamięć nauczyć każe—wziąść samemu do ręki przeczytać z uwagą i zapas przyswojonych sobie w ten sposób wiadomości, za pomocą żywego słowa w dziecko przelewać.

Nie rozpisując się więcéj o nauce okazowéj, (w całym ucywilizowanym świecie wprowadzonéj już zresztą w wykonanie) dodamy tu tylko, że postaramy są z czasem podać szczegółowe do prowadzenia nauki tej wskazówki.

Błędnie także prowadzoną jest u nas **nauka rachunku;** bo jak wspomnieliśmy już wyżéj polega ona na wydoskonaleniu w mechanicznem wykonywaniu na papierze działań arytmetycznych, a im więcéj mają cyfr liczby, na których dziecko to działanie wykonywa, tem wyższy, w przekonaniu uczących, jest stopień jego umiejętności. W średnich wiekach w ten sam wprawdzie uczono sposób, do czterech jednak działań znanych naszym nauczycielom dzieci, dołączano wówczas piąte: *liczenie (*numeratio), które bądź co bądź uczyło rozumieć liczbę,—dziś zupełnie zarzucono prawie liczenie i uważa się za dostateczne gdy dziecię umie napisać i przeczytać 7-o lub 8-o cyfrowe liczby z zerami w pośrodku. A skutki takiego nauczania są w cale niepomyślne; rozwija ono bowiem mechanizm, rugując myślenie,—wprawia w wykonywanie działania na liczbach choćby i 20-cyfrowych, ale rachować nie uczy. Przekonać się o tém, można bardzo łatwo; dosyć zapytać tylko dziecko wykonywające bez pomyłki dzielenie kilkocyfrowéj liczby, ile to będzie 38 a 11, ile wyniesie połowa 46-u, jaka będzie 5-a część 55-u—ile razy 3 jest mniejsze od 30-u i t. p. by się przekonać, że bardzo tylko rzadko dziecię trafnie odpowie, t. j. że bardzo rzadko zdolne jest w wyobraźni wykonać działanie tak, jakby je wykonywało na papierze.

(*d. c. n.*)

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Powieści z 1001 nocy, dla młodzieży, podług Grimma — Warszawa nakładem E. Wende i Spółki, 1872 r.

Znany zbiór cudownych baśni *tysiąca i jednéj nocy* jest rzeczywiście arcy-ciekawym objawem bujnego jaskrawego polotu fantazyi wschodniéj, która zdobyła się na takie mnóstwo oryginalnych, dziwacznych, nadludzkich i wybujałych obrazów poetycznych. Ta wielka girlanda rojeń fantastycznych; tak znana i popularna szczególniéj w wiekach średnich, odznaczających się także na swój sposób chorobliwością uczuć i namiętności, do dziś dnia bywa chciwie czytaną, w tysiącznych przekładach i przeróbkach na różne języki europejskie, karmiąc łakomą wyobra-

źnię mniéj dojrzałych i niewykształconych czytelników. Pod względem naukowo-literackim posiada ona niepospolitą wagę, jako jeden z najwybitniéjszych wyrobów twórczości poetycznej na Wschodzie, ale rozkrzewianie jej epizodów w dziełkach przeznaczonych dla najmniéj umysłowo wykształconych czytelników z gminu, a co więcej wydawanie tego rodzaju książek do czytania dla dzieci, jest rzeczą bardzo niewłaściwą, jest wyzyskiwaniem dla celów spekulacyjnych słabości młodocianych, niedoświadczonych a ciekawych umysłów. Te majaczenia gorączkowe, te wyskoki wybujałe jakąż mogą dać strawę młodziutkim umysłom i sercom? Połechcą tylko ich imaginacyję, rozdrażnią ciekawość, pobudzą do marzycielstwa, wiary w nadprzyrodzone zjawiska, zaszczepią skłonność do zabobonów i przesądów.

Jestto u nas dawną a zakorzenioną wadą wychowania takie hurtowne karmienie młodocianych główek niezdrową, denerwującą fantazyjnością. Już z owych tradycyjnych bajek, szwargotanych przez piastunki przy kolebkach, niewiele jeszcze wiedząc o Bożym świecie, mała dziecina dowiaduje się o zaklętych królewnach, czarodziejskich pałacach, kijach samobijach, czapkach niewidymkach, dywanach samolotach i t. p. bredniach. Następnie same matki chcąc niby *rozwinąć umysł* dziecka, raczą go wiadomościami bajecznemi z historyi krajowej, albo też opowieścią o cudach greckiej starożytności mitycznej. Ma to niby *zajmować i bawić*, ale w istocie jakież szkodliwe wsącza zarody do młodego organizmu moralnego, pacząc chorobliwie jego trzeźwość moralną, zawcześnie i zanadto rozbudzając wyobraźnię. Zamiast rozwijania organicznego władz umysłowych dziecięcych, zamiast wyrabiania pojęć coraz obszerniejszych i dokładniejszych o przedmiotach zewnętrznych, zamiast tłomaczenia rozumnego i objaśnienia prostych zjawisk życiowych lub fenomenów natury, nasze matki lubią tumanić młodociane główki tysiącami bredni i niedorzeczności.

W tak *rozumnie pojętém* wykonaniu swego zadania pomoc im niosą najskuteczniejszą własnie książki w rodzaju tej, o któréj mówimy obecnie.

Młodzi czytelnicy ze sporej, ozdobnej, prawie 300 stronnic liczącej publikacyi, dowiedzą się, jakie to zajmujące odbywał wędrówki napowietrzne książe Firuz-Szach na koniu cudownym, za pomocą którego wykradł królewnę Bengalską, jak Ali-Baba łupił skarby rozbójników zamknięte w grocie czarodziejskiej; jak żeglarz Sindbab odbywał podróże związany sznurami do pazurka olbrzymiego ptaka Roka, który znosił jaje, co najmniej wielkości pałacu, jak królewic Ahmed palił koperczaki do wieszczki Parybanu, jak czarownik Szajba wysoki na półtory stopy, z brodą trzydzieści stóp długości mającą, wywijał sobie maczugą pięciocentnarową niby eleganci Warszawscy leciuchną laseczką i jak uśmiercał tém miłém narzędziem, rozmaitych śmiertelników. Cała ta czereda banialuk bezsensowych odbija w sobie jeszcze obok tego często przeróżne ciemne strony wschodniego społecznego ustroju. Potulna służalność, imponująca duma szachów i królów pomiatających życiem człowieka dla lada kaprysu, na każdej niemal stronicy odcinanie głowy, rozpłatanie na ćwierci, zabicie sztyletem lub inne rozmaite sposoby wyprawiania w zagrobową pielgrzymkę przeróżnych nieszczęśliwców,—wszystko to nie może wpływać budująco na młodociane umysły.

W niektórych opowieściach moralność arcy śliska i niezbyt zgodna z nowożytnemi zasadami etyki, w innych rzeczywiście piękne moralne myśli, które jednak niezostawią najmniejszych śladów w młodych główkach zawarte silną efektownością opowiadanych wydarzeń. Kilka rycin niesmacznych, jaskrawych, bijących w oczy pstrocizną kłócących się kolorów, stanowią smutną ale trafną harmoniję z całym charakterem tego bezużytecznego dziełka.

J. K. K.

Biblioteka umiejętności lekarskich. — *Przegląd postępu nauki lekarskiej we wszystkich jej gałęziach i we wszystkich krajach — wydawany pod redakcyją* **D-ra P. Girsztowta.** *Za rok 1870 Zeszyt I. — Warszawa 1872.*

Dzięki niestrudzonej działalności profes. Girsztowta Redaktora Gazety Lekarskiej, medyczna literatura nasza, wzbogaconą została nowym cennym nabytkiem. Zeszyt pierwszy, który świéżo opuścił prasę zawiera: Pogląd na rozwój nauki lekarskiej w XIX w. przez prof. Dra Łuczkiewicza; Patologiję ogólną przez Dra Stanisława Witkowskiego; Terapiję ogólną przez prof. Dra Dybka; Patologiję i Terapiję szczegółową przez prof. Dra Łuczkiewicza; Psychiatryę przez Dra Rothe; Choroby nerwowe przez tegoż. — Cena roczna „Przeglądu postępów nauki lekarskiej" (50 arkuszy ścisłego druku) wynosi Rs. 8—dla prenumeratorów Gaz. Lek. Rs. 6 a dla prenumerujących i Gazetę i Bibl. Um. Lek. tylko Rs. 4. Zalecając ważne to dzieło specyjalistom—zwrócimy tylko uwagę redakcyi na zbyteczną niekiedy niepoprawność języka w dwóch ostatnich działach 1-go zeszytu.

J. O.

Ella przez Kazimierza Chłędowskiego. Kraków. Jestto powiastka awanturnicza z rodzaju tych, jakie w Niemczech po czytelniach w wielkiej znajdują się obfitości. Zawiedziona w miłości Ella, postanawia mścić się na całym rodzie mężkim; przyprawia o śmierć pewnego księcia, (Alfonsa Worlicza) ale z drugiej strony liczy w rzędzie konkurentów przebranego rzezimieszka. Po licznych przygodach i śmierciach (matki i ojca) zostaje żoną byłego posiadacza ziemskiego (Juljusza), który straciwszy majątek, zajmuje się dawaniem lekcyi muzyki; wreszcie odbiera znaczny spadek i... umiera. Pod względem artystycznym wartości prawie żadnéj nie posiada, a pod względem moralnym nie przedstawia tendencyi wyraźnej ani wybitnego charakteru.

Nemezys przez Waleryę Morzkowską. Warszawa. Jestto historya podżyłego (po za pięćdziesiątkę) rzeźbiarza, który się zakochał w młodej i pięknej wdowie (*Nasielskiej*), a nie mając jej wzajemności, zajętej już przez młodego akademika (*Gustawa*) tęskni i rozpacza, nie ma w domu spokoju (był żonaty) a wreszcie z losem zgodzić się musi. Jestto jedna z najsłabszych powieści zdolnej autorki zarówno pod względem myśli przewodniej, któréj w chaosie górnonobrzmiących a pustych frazesów trudno się doszukać, jak i pod względem wykonania, w którém ruch i akcyja zostały wygnane a natomiast wprowadzone szerokie dysputy, nie przyczyniające się w niczem do rozwoju utworu. Gdyby nawet uważać tę powieść za rodzaj studyjum psychologicznego, to i tak jeszcze nie moglibyśmy jej przyznać wysokich zalet: nie napotyka się tu bowiem ani głębszej analizy charakterów, ani uwag, za któremi przemawiałaby prawda i żywotność, ani też wniosków któreby można wyciągnąć z dziejów serc, kilku, na pożytek duchowy.

Posag przez Jana Zacharyjasiewicza. Warsz. Obrobił p. Z. znany, po tysiąckrotnie wypowiadany temat o niezmiernéj sile przyciągania ludzi, jakie posiada mamona w kształcie posagu. Ci których uważano przedtem za prostaków, nieukształconych (mieszczanin *Izajasz* i jego *żona*) stają się naraz ludźmi pożądanemi nawet w towarzystwach arystokratycznych; ci, którym odmawiano dawniej piękności (córka Izajaszów *Elżunia*) odbierają hołdy należne ideałom. I naodwrót te same osoby, których praca a zwłaszcza los szczęśliwy wzbogacił, ulegają zgubnemu wpływowi bożka miliona, stając się dumnemi, nieprzystępnemi, odpychając dawnych znajomych, których uważały za najszczerszych przyjaciół i t. d. Sens moralny widzimy w nieszczęściu, jakie spotyka osoby wzbogacone, a w cichem zadowoleniu tych ludzi, którzy nie oślepli, patrząc na blask złota. Pierwszych przedstawia rodzina Izajaszów, drugich *Floryjan* i *Bronisława*. Oni, powiada p. Z:, „do szczęścia swojego wnieśli pokrewne kapitały— *cierpień niedoli przebytej i pracy, co często niejeden posag przenosi...*" Zacna dążność, i kilka scen z talentem napisanych, pomimo zbytniej częstokroć rozciągłości, ostatnią tę powieść p. Z. czynią godną czytania.

Wyjątki z kroniczki mojej okolicy, z notat p. Marcina spisał **Leon Kunicki.** Jestto rzeczywiście kroniczka bardzo drobniutkich wypadków, zaszłych w pewnej miejscowości nad Bugiem, kroniczka podupadających majątków, z powodu braku rządności a wielkiéj ostentacyi, kroniczka ludzkiej głupoty małéj, nieszkodliwéj nikomu, oprócz samego jéj przedstawiciela, kroniczka miłości i kłótni. Są to plótki i ploteczki nie przynoszące do literatury zadnego nowego żywiołu, ożywione tylko szczerą chęcią autora, żeby z nich wyleczyć swoją okolicę. Kroniczka pisana jasno i zrozumiale, bez ozdób stylowych i pretensyi do artyzmu. Nic w niéj nie ma złego ani gorszącego, ale też nic takiego, coby wznosiło umysł ponad zwyczajne, codzienne rozmowy, którym jak wiemy nie wiele kształcącego pierwiastku przypisać można.

P. Ch.

Odpowiedzi od Redakcyi.

— *Panu A. J. Ros. w Mohilewie Podolskim.* Początek powieści „Druga miłość", wkrótce wysłanym zostanie.

— *Panu W. Woj. w Wilnie.* Zapewniamy Pana że uczynimy wszystko co od nas zależéć będzie—by pismo nasze i śpiesznie i akuratnie prenumeratorów dochodziło. Za życzliwość dziękujemy serdecznie.

— *Panu Z. W. w Lublinie.* O Nr. 6 „Opiekuna" z r. b. nie otrzymaliśmy żadnéj reklamacyi. Kalendarz 21 Marca zdany do Ekspedycyi gazet w Warszawie.

— *Pani Paulinie L. w Lubomirku.* Nr. 9 „Opiekuna" z r. b. zdanym był we właściwym czasie Ekspedycyi gazet w Warszawie—reklamacyję więc Pani Władzy Pocztowéj przedstawimy.

— *Pani Alinie W. w Nowéj Aleksandryi* (Puławy). Nr. 11 Opiekuna wysyłamy pocztą dzisiejszą.

— *Panu Joachimowi Mal. w Olkuszu.* Kalendarz posyłamy — za przesyłkę pocztową należy się nam 12 kop.

Do dzisiejszego Numeru dołącza się prospekt na „Klejnoty Humoru Polskiego", dzieło w 2 tomach przez Redakcyję „Kolców" ułożone.

Redakcyja „Opiekuna Domowego" przeniesioną została na Nowy Świat pod Nr. 30 nowy.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Redaktor, Bogumił Aspis.